

S T A C E Y L E E

BESTSELLER
NEW YORK
TIMES A

THE
DOWNSTAIRS
GIRL

Bez gorsetu

beyA.

Tytuł oryginału: The Downstairs Girl

Tłumaczenie: Marcin Kowalczyk

Korekta językowa: Dominika Dziarmaga

ISBN: 978-83-283-9927-3

Copyright © 2019 by Stacey Lee.

G. P. Putnam's Sons is a registered trademark of Penguin Random House LLC.

Polish edition copyright © 2023 by Helion S.A.

All rights reserved. No part of this book may be reproduced or transmitted in any form or by any means, electronic or mechanical, including photocopying, recording or by any information storage retrieval system, without permission from the Publisher.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<https://beya.pl/user/opinie/thedow>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: kontakt@beya.pl

WWW: <https://beya.pl>

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność



Rozdział 1

Bycie miłym jest jak trzymanie szeroko otwartych drzwi do domu. W końcu ktoś wejdzie i ukradnie twój najlepszy kapelusz. Ja mam tylko jeden kapelusz i jest on brzydki jak zdechła wrona, więc jeśli ktoś go ukradnie, to będzie miał na głowie nie lada problem. Dosłownie. Ale granice trzeba wyznaczać. Szczególne te, które dotyczą poczucia własnej wartości.

Dlatego dziś zażądam podwyżki.

— Wpatrujesz się w ten chodnik w taki sposób, że robi mu się nieswojo — zauważa Robby Withers, obdarzając mnie olśniewającym uśmiechem. Odkąd usłyszał od objazdowego dentysty, który usunął mu zepsutego trzonowca, że straci kolejne zęby, jeśli nie będzie ich regularnie mył, szoruje je dwa razy dziennie i nalega, żeby ja też to robiła.

— Chodniki są niedoceniane za swój wkład w wygładzanie ludziom drogi — odpowiadam, patrząc się w jego roześmiane, brązowe niczym orle pióra oczy. Tak samo brązowe jak jego skóra. — Powinniśmy okazywać im więcej wdzięczności.

Robby robi zamaszysty ruch ręką w stronę ziemi.

— Chodniku, jesteśmy niezwykle wobec ciebie zobowiązani, pomimo tych wszystkich śmieci, które na ciebie rzucamy. — Po tych słowach odciąga mnie dalej od kupy gnoju. To matka Robby'ego opiekowała się mną, gdy byłam mała. Niech Bóg ma jej duszę w opiece. I to ona powiedziała Staremu Ginowi o ukrytej piwnicy w budynku drukarni.

Whitehall Street, ulica będąca „kręgosłupem” Atlanty, szczyli się dostojnymi ceglanyymi i kamiennymi budynkami wznoszącymi się wysoko ponad korony drzew. Co któryś dom jest wiktoriański, jakby historia nie chciała jeszcze ustąpić miejsca przy stole. Biznes ma się tu dobrze. Firmy wyrastają na miejscu lasu sosny długoigielnej, który został spalony przez wojska Shermana ćwierć wieku temu. Można rzec, że miasto odrosło silniejsze.

— Wyglądasz dziś jakoś inaczej. — Taksuję go uważnym spojrzeniem od czapki po brązowe spodnie. — Zapomniałeś czegoś? — Rzadko można go zobaczyć bez nieodłącznych muła i wozu, podstawowych narzędzi pracy dostawcy domu towarowego Buxbauma.

— Subiekt zwolnił się z pracy. Pan Buxbaum pozwolił mi wykonywać jego pracę, dopóki nie znajdą kogoś nowego. — Obciąga swoją marynarkę w prążki, choć jest już wystarczająco wyglądzona.

— No nie mów. — Pan Buxbaum jest popularny wśród białych i kolorowych, ale w tych stronach nie zatrudnia się kolorowych subiektów.

— Jeśli będzie zadowolony z mojej pracy, być może zatrudni mnie na stałe. — Rzuca mi nieśmiały uśmiech.

— Jeżeli nie spróbujesz, to nigdy nic nie osiągniesz. A ty idealnie nadajesz się do tej pracy. Ja też się zbieram, by poprosić panią English o podwyżkę.

Na te słowa reaguje krótkim gwizdnięciem.

— Jeśli pani English ma choć trochę rozumu, to da ci ją bez problemu. Choć rozum w tych okolicach nigdy nie miewał się dobrze.

Kiwam głową, czując w żyłach nagły przypływ krwi będący przejawem sprawiedliwego gniewu. Już dwa lata pracuję jako pomoc kapeluszniczki i ciągle dostaję to samo wynagrodzenie — 50 centów dziennie. Żałosne. A mamy już 1890 rok. W dodatku Stary Gin stracił ostatnio zbyt dużo na wadze i muszę mu kupić lekarstwa — prawdziwe lekarstwa, a nie te kolorowe pigułki czy proszek z kasztanów. A prawdziwe znaczą drogie.

Zbliża się jeden z tych nowych elektrycznych tramwajów, pełny pasażerów z Południa w różnych stadiach konfuzji na mój widok. Azjatka w zachodnim stroju zawsze budzi cały wachlarz emocji, od ciekawości

po dezaprobacie. Najczęściej dezaprobacie. Powinnam pobierać opłaty za przywilej gapienia się na mnie. Oczywiście musiałabym podzielić się pieniędzmi z Robbym, którego sześć stóp wzrostu również nie pozostaje niezauważone, choć on sam stara się nie zwracać na siebie uwagi i nie spuszcza wzroku z chodnika.

Zatrzymuje się i poprawia czapkę. Jest tak równo ułożona, że można byłoby na niej grać w szachy.

— Jestem na miejscu. Powodzenia, Jo.

— Dziękuję, ale zachowaj go też trochę dla siebie.

Mruga do mnie i skręca w boczną uliczkę, przy której znajduje się tylne wejście do domu towarowego Buxbauma. Stary Gin mówi mi, że odkąd się urodziłam, wszystko idzie ku gorszemu. Kiedy stary dobry prezydent Hayes wycofał wojska z Południa, demokraci na powrót objęli władzę i nakazali kolorowym ludziom korzystać z tych bocznych uliczek, co w sumie dość dobrze podsumowuje całą sytuację.

Rękawy mojej rudobrunatnej sukienki sflaczały i wiszą jak para pozabawionych powietrza płuc, dlatego puszę je i pokonuję pieszo jeszcze kawałek, aż do budynku, w którym mieści się zakład kapelusznicy pani English. Sklep znajduje się między wytwórnią świec a sklepem z nasionami, co oznacza, że w zależności od kierunku wiatru może w nim pachnieć jak w kościele katolickim lub lucerną. Jednak tego ranka powietrze jest jeszcze zbyt rześkie, by zapachy mogły się utrzymać. Frontowe okna są czyste jak oczy naszego Pana — dokładnie tak, jak zostawiłam je poprzedniego wieczoru. Wystawę stanowi kilka fioletoworóżowych kapeluszy. Ten kolor ma właśnie swoje pięć minut.

Jednak zamiast wchodzić od frontu, ja również skręcam za róg i idę do tylnych drzwi. To, których drzwi używają Chińczycy, już mniej obchodzi dziś ludzi niż wówczas, gdy azjatyckich robotników sprowadzano tu po wojnie, żeby mogli zastąpić czarnoskórych niewolników. Biali chyba mają do nas taki sam stosunek jak do biedronek: kilka nikomu nie przeszkadza, ale gdy jest ich już całe stado, to wzbudzają wstręt.

Przy drzwiach leżą trzy pudełka. Podnoszę je i wchodzę. Staję jak wryta na widok Lizzie przymierzającej kapelusza, nad którym ostatnio pracowałam.

Co ona tu robi tak wcześnie? Przecież zwykle o dziewiątej, kiedy otwiera się nasz sklep, ona ledwo powłóczy nogami. A dziś nie ma jeszcze kwadransu po ósmej.

— Dzień dobry. — Kładę pudełka na naszym stole roboczym, który i tak niemal już się ugina pod belami filcu. Kapelusze z szerokimi rondami przygotowywane na zbliżający się charytatywny wyścig konny ledwo wyschły, a zamówienia już spływają szerokim strumieniem. Nie wypada stroić się podczas Wielkiego Postu, ale Bóg z całą pewnością zrobi wyjątek na to wydarzenie roku. Właścicielka pewnie będzie chciała, żebym znów została dłużej lub pracowała w porze lunchu, a sama wymknie się na kieliszeczek *coca cordial*. Jeśli nie da mi podwyżki, nie zgodzę się.

— Pani English chce z tobą porozmawiać — mówi Lizzie swoim lekko chropawym głosem. Przygląda ogon, który przyczepiłam do kapelusza chińskim węzłem wieczności. Pukle blond włosów wysuwają się jej spod ronda.

Zdejmuję długi, sięgający podłogi płaszcz i czarny kapelusz — jeden z tych źle dopasowanych, które pani English pozwoliła mi kupić ze zniżką. Jeden z tych, które wyszły zapewne spod niezdatnych rąk Lizzie. Zakładam koronkowy fartuszek.

W tym momencie zasłona oddzielająca sklep od pracowni rozchyła się i jak burza wpada pani English.

— Tu jesteś — mówi tym swoim wyniosłym głosem nauczycielki.

Ścieram niewidoczny kurz z mojego szarego czepka roboczego.

— Dzień dobry, proszę pani. Mam pewien pomysł. Może zamiast nosić te czepki, które wyglądają jak muchomory, mogłybyśmy założyć nasze najnowsze modele? Byłybyśmy żywą reklamą. Proszę tylko zobaczyć, jak ładnie wygląda mój kapelusz na Lizzie...

Pani English marszczy brwi.

— Natychmiast załóżcie swoje czepki robocze. Obie.

— Tak jest, proszę pani — Lizz i ja odpowiadamy chórem. Powoli nasuwam czepkę na włosy. Powinnam poprosić ją o podwyżkę teraz, *zanim* ona każe mi zostać dłużej w pracy. Dzięki temu moja prośba nie zabrzmi, jakby była efektem nieprzemyślanej reakcji na jej słowa. Ocieram dłonie o spódnice. — Pani English...

— Jo, nie będę dłużej potrzebowała twoich usług.

— Ja... ja... — Zaciskam gwałtownie wargi, kiedy jej słowa w końcu docierają do mojego mózgu. Nie będzie dłużej potrzebowała... Czy to znaczy... Czy to znaczy, że jestem zwolniona?

— Potrzebuję tu tylko jednej sprzedawczynie. Lizzie mi wystarczy.

Lizzie gwałtownie wciąga powietrze. Jej zazwyczaj senne oczęta otwierają się teraz tak szeroko, że zaraz wpadnie w nie jakiś komar.

— Lizzie. Otwórz paczki. Mam nadzieję, że w którejs z nich jest nowa forma do kapeluszy słomkowych. — Pani English wskazuje jej paczki palcem.

— Tak, proszę pani. — Lizzie zaczyna przetrząsać szuflady w poszukiwaniu noża.

— A... ale... — odwracam się do niej plecami i ściszam głos do szeptu. — Pani English, przecież to ja ją *wyszkoliłam*. Potrafię wymodelować kapelusz dwa razy szybciej niż ona, nigdy się nie spóźniam i sama pani mówiła, że mam dobre oko do kolorów. — Nie mogę stracić tej pracy. Po zwolnieniu z poprzedniej, znalezienie tej stałej pracy zajęło mi prawie dwa lata, a skromna wypłata Starego Gina, którą dostaje jako masztalerz, nie wystarcza na utrzymanie nas obojga. Ponownie znajdziemy się na skraju biedy. W mojej klatce piersiowej wzbiera histeria, ale udaje mi się ją opanować, powoli wydychając powietrze.

No cóż. Przynajmniej mamy dach nad głową. Jest tam ciepło i nie płacimy ani centa. To jeden z plusów mieszkania potajemnie w cudzej piwnicy. A dopóki masz dom, to masz też miejsce do snucia planów i marzeń.

Pani English wzdycha. Często to robi. Jej wielki brzuch zdaje się mieć własną osobowość — czasem jest zadufany w sobie i radosny, a czasem nerwowy, jak wtedy, gdy do salonu zagląda żona burmistrza. Dzisiaj jest tak nabrzmiały, że testuje wytrzymałość jej gorsetu. Kobieta góruje nade mną i zezuje swoimi wiecznie wilgotnymi oczami.

— Niektóre panie czują się w twojej obecności nieswojo.

Poszczególne sylaby tego ostatniego słowa — *nie-swo-jo* — są jak uderzenia w policzek. Przerazenie spływa z mojej twarzy do palców u nóg niczym roztopione żelazo. Ale ja jestem przecież *dobra* w mojej pracy.

Naprawdę dobra. Żona notariusza kokardę, którą zawiązałam na jej kapeluszu, określiła kiedyś mianem „wyjątkowej”. Co takiego jest we mnie, co wywołuje taką niechęć pań? Przecież regularnie myję się mydłem — nawet te części ciała, których nie widać. Moje czarne włosy są zawsze starannie zaplecione w warkocz. A dzięki Robby’emu zawsze szoruję zęby korzeniem lukrecji. Nie jestem ospała jak Lizzie ani przesadnie nadskakująca jak pani English. W gruncie rzeczy to ja jestem najmilszym i najmniej narzucającym się członkiem naszego zespołu.

— Czy to dlatego, że jestem... — Automatycznie podnoszę dłonie do policzków, śniadych i gładkich jak azjatyckie stopy.

— Wiem, że nic nie możesz na to poradzić. Taki wyciągnęłaś los na loterii. — Pochyla się nade mną tak, że jej okrągłe oczy znajdują się na poziomie moich, równie okrągłych, ale jednak zwężających się wyraźnie przy zewnętrznych kącikach. — Ale to nie tylko o to chodzi. Jesteś... zachwała. — Rzuca okiem na moje nakrycie głowy, a ja żałuję, że nazwałam je muchomorem. — Nie wiesz, kiedy należy zachować swoją opinię wyłączanie dla siebie. — Prostuje się. — Kobiety oczekują, że będą tylko komplementowane. Nie chcą, by mówiono im, że wyglądają blado, mają kwadratowe szczęki i okrągłe buzie.

Gdyby jakiś kapelusz sprawiał, że moja twarz wyglądałaby na pulchną i okrągłą, to zdecydowanie wolałabym o tym wiedzieć przed jego zakupem. Lizzie często wygłasza swoje opinie. Ledwo tydzień temu powiedziała kobiecie z niekształtną głową, że być może powinna w ogóle przestać nosić kapelusze. Pani English tylko się uśmiechnęła. Już miałam zamiar wyrazić swoje zdanie na temat tej jej opinii, ale przygryzam język. Przecież w ten sposób tylko bym potwierdziła jej słowa.

— Ja tylko chciałam pomóc im znaleźć najlepiej pasujące kapelusze. — Staram się panować nad sobą, ale mój głos drży.

— No cóż, faktem jest, że po prostu tu nie pasujesz. Dzisiaj jest twój ostatni dzień. Nie utrudniaj tego bardziej niż potrzeba. Jestem pewna, że bez problemu znajdziesz pracę jako służka czy coś w tym rodzaju.

Służka? Gwałtownie wciągam powietrze. To byłby ogromny krok wstecz, ale czy ktoś taki jak ja może być wybredny?

— Nie jako uczennica w zakładzie kapeluszniczym, oczywiście. —
Wbija szpilę jeszcze głębiej. — Rozmawiałam już z Sixteen. Tam cię nie
przyjmą.

Sixteen Milliners to konkurencyjny zakład kapeluszniczy. Najwyraź-
niej z właścicielkami o równie ciasnych horyzontach umysłowych, co
ich kapelusze zdobiące głowy mieszkank Atlanty. Coś uderza z łoskotem
o podłogę, ale przeprosiny Lizzie wydają mi się płynąć z oddali. A więc
znalazłam się na czarnej liście. Służący często zostają odpawieni z takim
„wilczym biletem”, nawet jeśli nie zrobili nic, by sobie na to zasłużyć,
oprócz urabiania sobie rąk po łokcie, przychodzenia do pracy o świcie
i wychodzenia z niej późno, sprzątanania bałaganu pozostawionego przez
innych czy żmudnego przerabiania ściągów. Mam trudności ze złapa-
niem oddechu.

— Aaa... ale...

— Nie mogę ryzykować, że zdradzisz komuś moje tajemnice.

Dzwonek nad drzwiami brzęczy i pani English pospiesznie przechodzi
do części sklepowej.

Łzy zbierają się w moich oczach. Zanim spadną, ocieram je rękawem.
A ja kiedyś myślałam, że pani English jest taka dobra, dając mi szansę.

Właścicielka wsuwa głowę z powrotem do pracowni.

— Jo, pani cię prosi.

Z trudem przelękam ślinę.

— Mnie? — Jeszcze nikt nigdy czegoś takiego nie zrobił. Ale kto to
może być? Jest jeszcze przecież za wcześnie na klientki.

— Wyraziła się jasno: „ta chińska dziewczyna”, co raczej nie pozos-
tawia wątpliwości, prawda? No już, nie guzdraj się.

Ocieram twarz i idę za nią do części sklepowej. Po drugiej stronie dę-
bowej lady stoi kobieta w szarej garsonce ze skromną turniurą i w białej
bluzce z wysokim kołnierzem. Wąskie ramiona przechodzą w równie
wąską szyję i twarz ze spiczastym podbródkiem i wysokimi kośćmi po-
liczkowymi. Przedwcześnie posiwiałe włosy są związane w praktyczny
koczek.

Na jej widok aż mnie zatyka. To pani Bell. Mieszka nade mną. Choć staraliśmy się utrzymywać nasze istnienie w tajemnicy przed drukarzem i jego rodziną, ukradkiem podpatrywałam ich czasem przez witrynę drukarni. A teraz szare oczy pani Bell lustrują mnie uważnie i niemal słyszę, jak ściany piwnicy, która jest naszym domem, dosłownie się rozsypują. Nagle z zewnątrz dobiega ostry trzask bata i ryk zranionego muła. Moje nadzieje rozplývają się w nicość.



Rozdział 2

Szanowna Panno Sweetie,

Pół roku temu do domu obok wprowadziła się pewna żydowska rodzina. Ci ludzie robią najdziwniejsze rzeczy: całują coś zawieszzonego w drzwiach, budują na swoich podwórkach szałas, w których „obozują”, śpiewają bełkotliwe pieśni i machają gałęziami. Robią mnóstwo zamieszania. Jak moglibyśmy przywrócić spokój i godność naszej okolicy?

*Z poważaniem
Pan i Pani Szanowni*

Szanowni państwo Szanowni,

Możecie się wyprowadzić.

*Z poważaniem
Panna Sweetie*

— To pani Bell. No dalej. Nie stój tak jak cielę. Powiedz coś. — Pani English kładzie dłonie na biodrach. Teraz nawet jej biust zdaje się we mnie wpatrywać — w zastygłą ze strachu dziewczynę. Czy ta pani przysłała tu po to, żeby mnie wydać? Chce, żeby mnie zaaresztować?

Gdyby wydało się, że dwoje Chińczyków mieszka nielegalnie w piwnicy jej domu, naprawdę moglibyśmy trafić do więzienia. Albo jeszcze gorzej. W tej części świata tłum wybucha gniewem równie szybko jak oberwania chmury.

— Dzień dobry, proszę pani. Jak się pani miewa? — Zmuszam twarz do przyjęcia miłego lub choćby neutralnego wyrazu. Zachowuj się jak gdyby nigdy nic. Jeśli szuka Chinki, która zamieszkała pod jej domem, to źle trafiła. Nawet jeśli jestem jedyną skośnooką dziewczyną w okolicy. Nerwowo skubię wachlarz leżący w koszyku. — Ładną mamy dziś pogodę.

Pani English wrywa mi wachlarz z ręki i rzuca ostre spojrzenie.

— Eee... Tak — odpowiada pani Bell pomimo ewidentnie zachmurzonego nieba. Teraz, kiedy jestem zmuszona stanąć twarzą w twarz z tą kobietą, nie mogę nie dostrzec, że wydaje się bardziej rozbawiona niż rozgniewana. Wysoko unosi ciemne brwi, a wargi ma na wpół rozchylone i wykrzywione jak gdyby w lekkim uśmiechu. Zdejmuje z głowy kapelusz, prosty spooner w kolorze żałobnej szarości, i kładzie go przed sobą na ladzie. — Bardzo spodobało mi się zdobienie węzła na kapeluszu mojej przyjaciółki i dowiedziałam się od niej, że zrobiła je pracująca tu młoda Chinka.

Żona notariusza? Przystają się kręcić. Może miejsce naszej kryjówki nadal pozostaje tajemnicą?

Pani Bell wskazuje na swój kapelusz.

— Miałam nadzieję, że będziesz mogła zrobić mi takie samo zdobienie.

Pani English odchrząkuje.

— Och. Ona jest bardzo zajęta. — Spogląda w stronę leżącej przy kasie księgi. — Dziś przeprowadzamy inwentaryzację.

Zaciskam zęby. To żmudne zajęcie wykonuje się zwykle w piątek, ale jak widać, postanowiła wykorzystać fakt, że jest to mój ostatni dzień w pracy. Lizzie rachunki nigdy się nie zgadzają.

— Ale ja z przyjemnością służę pani osobiście — dodaje pospiesznie.

Pani Bell cofa lekko głowę, mierząc ją uważnym spojrzeniem.

— *Pani* też potrafi robić chińskie węzły?

— Ech... Nie — odpowiada pani English i mocno zaciska wargi. Według niej moje węzły zawsze były dziwaczne, ale nie skarżyła się, gdy żona notariusza sownie płaciła jej za moją pracę.

— Chętnie bym to zrobiła — oświadczam cicho. Jeśli pani Bell przyszła tu z zamiarem aresztowania mnie, to gdzie podziała się policja? Szok wywołany zwolnieniem z pracy musiał zaburzyć moje trzeźwe spojrzenie na rzeczywistość, ale zachowanie tej kobiety naprawdę nie wskazuje na to, żeby przyszła tu wykurzyć szczura. A w dodatku perspektywa przerwienia na barki Lizzie obowiązku inwentaryzacji sprawia mi prawdziwą przyjemność.

— Ale zrobienie tego zdobienia zajmie więcej niż dzień — zauważa pani English, znacząco unosząc przy tym brwi.

Pani Bell składa dłonie.

— Och, nie ma pośpiechu. Kapelusz będę potrzebowała dopiero za kilka tygodni.

— Mogę zrobić to w jeden dzień. — Kieruję odważny uśmiech w stronę właścicielki salonu, mając nadzieję, że poruszę w jej sercu choć jedną cieplejszą strunę. Może litość?

Pani English wachluje się odruchowo. Do naszych nozdrzy dociera fala gardenii.

— Jeśli może pani zapłacić gotówką, mogłabym się zastanowić.

— Ach. Być może mogę pani zaproponować coś lepszego niż gotówkę. — Pani Bell przesuwa palcami po krawędzi swojego kapelusza. Jej artretyczne stawy rozciągają materiał wysłużonych rękawiczek, aż opuszki palców zaczynają się przebijać. W tej rodzinie pieniądze są ważne i nie ma ich za wiele. Wstrzymuję więc oddech, po części dlatego, że jestem ciekawa, co takiego pani Bell może zaoferować, a po części dlatego, że wciąż się martwię, iż w tej wizycie chodzi o coś więcej. — Bo widzi pani, mój mąż prowadzi „Focus”. W zamian za to zdobienie moglibyśmy zapewnić pani miesiąc reklam, wartych trzy dolary. Powiedziano mi, że ten węzeł kosztuje półtora dolara. Dostałaby więc pani dwa razy więcej.

— Na pierwszej stronie — szybko reaguje pani English. — I zapewne nie, że w tym czasie nie zamieścicie żadnych konkurencyjnych reklam.

— Gdy pani Bell nie odpowiada od razu, moja pracodawczyni przybiera czarujący wyraz twarzy. — Każdy kapelusz, który wychodzi z tej pracowni, jest unikalnym dziełem sztuki. Lepiej nie jeździć z nim do Nowego Jorku, bo Metropolitan Museum może się nim zainteresować. — Kieruje swój wachlarz w stronę potencjalnej klientki. Nikt inny nie potrafi tak słaodzić.

Pani Bell wciąż uśmiecha się łagodnie, ale zaczyna okręcać palcem jakąś luźną nitkę na rękawie.

— Wyłącznie na tydzień. To wszystko, co mogę zaoferować.

Targują się dalej, ale wzrok pani Bell co jakiś czas wędruje w moim kierunku. Opuszczam splecione dotychczas na piersi ramiona. Nie chcę wyglądać tak, jakbym coś ukrywała. W przeciwieństwie do mojej pracodawczyni, która moduluje głos niczym zawodowa aktorka, głos żony wydawcy jest twardy niczym dębowy stół. Przynosi mi ukojenie, nawet jeśli ta wizyta nadal wzbudza mój niepokój. Przypominają mi się te wszystkie piosenki, które śpiewa Nathanowi — piosenki, które uspokajają także mnie, dwa lata od niego młodszą. Jej opowieści o dorastaniu na farmie owiec należącej do jej rodziców bardzo mi się podobały. Nigdy bym nie pomyślała, że te zwierzęta tak bardzo mogą mnie zachwycić. Teraz stoi tu przede mną, nieświadoma — taką przynajmniej mam nadzieję — tego, ile dla mnie znaczy.

Do sklepu wchodzi dwie młode kobiety ubrane w modne ostatnio pastelowe suknie z koronkowymi kołnierkami. Panny Melissa Lee Saltworth i Linette Culpepper, które w myślach nazywam Salt i Pepper — solą i pieprzem, są córkami kupców i w związku z tym należą do tutejszej „kupieckiej arystokracji”. W przeciwieństwie do starszych miast, takich jak Savannah i Charleston, w Atlancie nie trzeba mieć nazwiska, by stać wysoko w hierarchii społecznej. Wystarczy żyłka do biznesu, by znaleźć się wysoko na drabinie. Oczywiście nie dotyczy to Chińczyków.

— Dzień dobry, panno Saltworth, panno Culpepper. Jak się panie miewają? — Pani English odwraca głowę i krzyczy w stronę pracowni: — Lizzie?

Lizzie wchodzi.

— Och, dzień dobry, pani Bell. Jak się miewa Nathan? Ostatnio go nie widuję. Przestał dostarczać gazety do sklepu mojego ojca.

— Wszystko u niego w porządku, Lizzie. Jest zajęty zbieraniem materiałów do reportaży. Przekażę mu, że o niego pytałaś.

Lizzie stoi przy ladzie, a na jej bladej twarzy pojawia się świadczący o rozmarzeniu uśmiech. Pani English głośno odchrząkuje i znacząco kiwa głową w stronę Salt i Pepper. Lizzie robi w ich stronę kilka ostrożnych kroków, jak gdyby cała podłoga upstrzona była końskimi plackami. Mogłoby się teraz palić, a ona na pewno nie przyspieszyłaby ruchów. Salt wskazuje górną półkę, na której eksponujemy nasze najlepsze modele, i Lizzie, wspomagając się drewnianą tyczką, zdejmuje wskazany fioletoworóżowy kapelusz słomkowy bogato zdobiony tiulem.

Przygryzam język z frustracji. Kapelusz absolutnie nie będzie pasował do brzoskwiniowego odcienia skóry Salt.

— W takim razie wyłączość na dwa tygodnie. Mam nadzieję, że nie będzie już nic więcej. — Pani Bell zamyka negocjacje z wyraźnym naciśkiem w głosie.

Pani English kiwa głową w moim kierunku. W jej oczach widać błysk triumfu. Pani Bell również przenosi wzrok na mnie. Prostuję plecy, nie chcąc, by uznała mnie za jakąś dzikuskę.

— To kapelusz na jakąś szczególną okazję, czy raczej ma pani zamiar nosić go na co dzień? — pytam, czując, jak mój język robi się nagle suchy.

— Chciałabym czegoś wyjątkowego. Czegoś, co dałoby początek rozmowie. Zamierzam nałożyć go na wyścigi konne.

Salt, która dotychczas podziwiała kapelusz pokazywany jej przez Lizzie, wykrzykuje teraz:

— Och, ja też jestem podekscytowana tym wyścigiem! Przyszliśmy tu tak szybko, jak tylko mogliśmy.

Pepper kręci parasolką tak energicznie, że zaraz z podłogi może trysnąć woda.

— Mam nadzieję, że twój pan Q wkrótce cię zaprosi.

Twarz Salt oblewa się czerwieńią i na tle jej blond loczków wygląda teraz jak zachodzące słońce. Według Pepper pan Quackenbach, syn

finansisty, który stracił fortunę, wspierając Konfederatów, jest „zadurzony” w panie Saltworth i zamierza starać się o jej rękę. Nazwisko Quackenbach wciąż w tej okolicy coś znaczy — nawet jeśli jego konto świeci pustkami — a pan Q ma ten rozmarzony wyraz twarzy, który jest w stanie wzbudzić zmarszczkę na powierzchni nawet najbardziej skwaśniałego mleka. Gdybym była tak bogata jak Salt, to jedyne, co zaoferowałabym takiemu naciągaczowi jak pan Q, byłaby moja noga. W każdym razie, według Starego Gina, prawdziwym pięknisiem jest koń pana Q — rzadki tarant z białą sierścią, czarną grzywą i czarnym ogonem.

Pani Bell kiwa głową w stronę obu nowo przybyłych klientek.

— Tak właściwie to zachęcamy panie do zapraszania mężczyzn. Wiem, bo sami drukowaliśmy reklamy.

— Ależ żadna szanująca się kobieta nie zrobiłaby czegoś takiego — oburza się pani English.

Uśmiech znika z twarzy pani Bell.

— Dochody z wyścigu zasila Towarzystwo na Rzecz Poprawy Sytuacji Kobiet. Wydaje się więc, że nie ma w tym nic niewłaściwego.

Ku mojej uldze Salt oddaje fioletoworóżowy kapelusz Lizzie.

— Ale to taki odważny gest. A jeśli mężczyzna odmówi? Cóż to byłoby za upokorzenie.

— Nie odmówi — zapewnia Pepper, wtykając pukiel swoich czarnych włosów pod wykończony aksamitem kapelusz z dużym daszkiem, który zrobiłam w ubiegłym tygodniu.

— To brzmi wspaniale — mówi cicho Lizzie, tak mocno ściskając w rękę fioletoworóżowy kapelusz, że zdaje mi się, iż słyszę, jak skomle z bólu. Spodziewam się, że pani English udzieli jej reprimendy, ale ona stoi z przyklepionym do twarzy uśmiechem i wpatruje się w kasę. Być może myśli o tych wszystkich dodatkowych zleceniach, które zapewniają jej wyścigi. W mojej piersi pojawia się niewielkie ziarenko nadziei.

OSTATNIE GODZINY JAKO KAPELUSZNICZKA w zakładzie pani English spędzam w warsztacie na zapleczu, tworząc ozdoby na kapelusz pani Bell.

Ludowej sztuki wiązania węzłów nauczył mnie Farciarz Yip, jeden z dwóch „wujków”, których pamiętam. Było to pewnego lata, gdy prawdziwe oberwanie chmury uniemożliwiło nam na długi czas wyjście z piwnicy. Wystarczą jedwabna nić i sprawne palce.

Rondo prostego filcowego kapelusza pani Bell z przodu opada, a z tyłu jest nieco uniesione, co robi miejsce dla włosów. Aby ożywić smutne połacie materiału, splatam z nici różę i fiołki. Dokładam zielone wstążki, które mają wyglądać jak liście.

Moją pierwszą pracą, z której także zostałam zwolniona, było polewanie balustrad w prestiżowym majątku Payne Estate, gdzie Stary Gin pracował, odkąd dwadzieścia lat wcześniej postawił stopę na amerykańskiej ziemi. Ja też tam dorastałam, pracując najpierw w stajni i czasem jako towarzysząca zabaw dla rozpieszczonej córki Payne’ów, zanim nie awansowałam na stanowisko pokojówki. Palce miałam jeszcze śliskie od oleju lnianego, kiedy pani Payne wyrwała mi szmatę i wskazała nią drzwi:

— Odejdź.

Cóż, pani English przynajmniej podała mi jakiś powód zwolnienia. Może i niezbyt dobry, ale lepszy taki niż żaden.

Lizzie przechodzi do warsztatu z części sklepowej. Czuję na plecach jej oddech. Nić, z której właśnie próbowałam związać motyla, wyslizguje mi się z palców i obracam głowę w jej stronę.

— W czym mogę ci pomóc?

— Powinna była zwolnić mnie. Ja nie mam tyle miłości do tej pracy, co ty.

Uchodzi ze mnie powietrze. Dlaczego nie może mi tego ułatwić? Chciałabym jej nie lubić.

— Kiedy już się więcej nauczysz, zaczniesz ci się tu bardziej podobać.

Zerka w stronę sklepu, który, sądząc po gwarze, jest pełen klientek. Ale zamiast pobiec tam szybko z powrotem, Lizzie opada na krzesło obok mnie.

— Jestem pewna, że wyścigi konne będą niezwykle udane. — Splata palce i prostuje ramiona.

Ja zaś nie mogę się oprzeć refleksji, że świat byłby znacznie miłszym miejscem, gdyby każdy mógł robić to, co kocha. Ja na przykład lubię

robić kapelusze. Nie chcę być pokojówką jakiejś rozpieszczonej damy z Południa. Lizzie nie chce robić kapeluszy. Wolałaby *być* rozpieszczoną damą z Południa. A jeśli chodzi o panią English, to jej życie byłoby proste, gdyby zatrzymała mnie, a zwolniła Lizzie. Ja przynajmniej zapewniłabym jej źródło dochodów.

Jeszcze kilka węzłów i mój motyl jest gotowy — rozpościera skrzydła, jak gdyby miał zamiar pofrunąć. Przeciagam już ostatnie nici w mojej aranżacji, gdy wraca pani Bell.

— Jest jeszcze piękniejszy, niż sobie wyobrażałam — mówi, kręcąc głową przed lustrem i oglądając się z każdej strony. — To niesamowite, że udało ci się skończyć tak szybko!

Powstrzymuję się przed zerknięciem na panią English, która tuż obok robi rachunki.

— Dziękuję. Zawsze powinna pani mieć coś kolorowego, ponieważ... Pani English chrząka znacząco.

Gryzę się w język, uświadamiając sobie, że to właśnie takie uwagi zdecydowały o moim losie.

— ...ponieważ, ponieważ każdy powinien nosić coś kolorowego.

Pani Bell uśmiecha się i wyciąga w moją stronę dłoń z pięciocentówką.

— Ja... Ja... Nie mogę — jąkam się znowu. Zdarza mi się czasem dostawać napiwki, ale przyjęcie pieniędzy od kobiety, której zawdzięczam tak wiele, nie wydaje mi się właściwe. Uśmiech na jej wargach znika i uświadamiam sobie, że moje zachowanie może zostać odebrane jako podejrzone. Przyjmuję więc monetę. — Dziękuję.

— Niech Bóg zawsze ma cię w opiece — mówi cicho.

Te słowa ponownie wzbudzają moje obawy, że ona wie o Starym Ginie i mnie. Czyżby właśnie dała mi do zrozumienia, że możemy dalej mieszkać pod jej domem? Ale dlaczego niby miałyby mówić coś brzmiącego tak *ostatecznie*? Jak gdyby sądziła, że już więcej się nie spotkamy. Czyżby jednak zamierzała nas zadencjonować?

Jej twarz nie zdradza jednak absolutnie niczego. Wraca do podziwiania swojego kapelusza w lustrze.



Rozdział 3

Pani English wręcza mi dwie srebrne jednodolarówki i zamyka kasę.

Moje zmęczone palce niemal samoczynnie zaciskają się wokół monet.

— Dziękuję. Proszę pani... Czy nie mogłaby pani rozważyć tego ponownie?

Krzywię się mimowolnie, słysząc desperację we własnym głosie, ale ja naprawdę miałam nadzieję, że ta praca będzie dla mnie życiową szansą. Robiąc kapelusze, można składać deklaracje, niczego przy tym nie mówiąc. No i kapeluszniczka może zarobić na swoje utrzymanie. Nie musi szukać męża. Od dobrej chińskiej żony oczekuje się tylko tego, że będzie gotować, rodzić synów i tłumić w sobie łzy goryczy. Ja już teraz mam zbyt wiele powodów do łez.

— Obiecuję, że będę pracować dwa razy ciężiej, postaram się nie wyrażać swoich opinii i...

— Jo. Trzymanie cię tutaj nie ma ekonomicznego sensu. — Chusteczką ociera sobie pot z szyi, a następnie jakimś dziwnym gestem przeciera przestrzeń między nami, jak gdyby chciała zetrzeć z niej widok mnie. Przypomina mi się to straszne słowo na o, którym zwolniono mnie poprzednim razem. Ale zamiast „odejź”, pani English zdobywa się na:

— Powodzenia.

Rozczarowanie ciąży na moim sercu. Podbródek mi drży, ale ukrywam twarz pod szerokim rondem kapelusza, idąc szybkim krokiem w stronę Union Station, ceglaneanego hangaru z łukiem w kształcie wachlarza. Im szybciej wrócę do domu, tym lepiej. Zamierzam natychmiast zacząć podsłuchiwać panią Bell i sprawdzić, czy jej wizyta nie była niczym więcej niż tylko przypadkiem.

Tory linii Western & Atlantic były pierwszymi z tych, które niczym cięcia tortu podzieliły Atlantę na sześć okręgów. Mieszkamy w pobliżu środka tego wielkiego ciasta. Mężczyzna w mundurze właśnie przepędza przez przejście hałaśliwą masę wozów i pieszych. Przyspieszam kroku, żeby zdążyć przejść. Jakaś kobieta przykładła chusteczkę do nosa i odsuwa się ode mnie. Wiem, że nie chodzi jej o sadzę, która może na nią opaść z przejeżdżającego pociągu.

Czuję drżenie pod stopami, gdy przekraczam tory i rzucam spojrzenie na północ, w stronę krainy Jankesów. Tam, na północ od linii Mason-Dixon, jest inny świat. Tam nawet psy chodzą do szkół uczących ich dobrych manier, a w Nowym Jorku kobiety są tak modne, że zmieniają kapelusze po kilka razy dziennie. Na Madison Square mogłabym nawet otworzyć swój własny zakład kapeluszniczy, gdybym tylko miała odpowiednie wykształcenie.

„Ależ ja jestem *zuchwała!*” — napominam samą siebie w myślach. Na każde dziesięć słów Lizzie ja wypowiadam ledwie jedno, a i tak właśnie wtedy jestem najbardziej gadatliwa w ciągu całego dnia. Chińczycy nie mogą sobie pozwolić na taką zuchwałość — szczególnie tacy Chińczycy, którzy starają się żyć w ukryciu.

— Och! — Zaraz za torami o mało nie wpadam na starszego mężczyznę siedzącego na skrzyni. Przestraszony robi tak gwałtowny ruch, że z głowy zsuwa mu się czapka zrobiona z gazety. — Przepraszam. — Podnoszę czapkę, ale on nie wyciąga ręki w moją stronę i w ogóle nie robi żadnego ruchu, który sugerowałby, że chciałby ją ode mnie wziąć.

— Tatusiu, wszystko w porządku? — Młoda kobieta o spalonej słońcem skórze wyrywa mi z ręki papierową czapeczkę.

Żółte oczy mężczyzny przyklejają się do mojej twarzy. Wpada mi do głowy myśl, że ta dwójka może być bezdomna. Wskazywałyby na to ich otwarte plecaki i brudne paznokcie. Kobieta poprawia zgnieciony papier, nadając mu poprzednią formę czapeczki, i wkłada ją delikatnie na głowę ojca.

Nagle dostrzegam w tej parze samą siebie i Starego Gina. To my, zredukowani do żebraków i niemający nawet porządnego nakrycia głowy, którymi moglibyśmy osłonić się od słońca. *Proszę, niech do tego nigdy nie dojdzie*, błagam zarówno chrześcijańskiego Boga, jak i naszych przodków. Niebo spogląda na mnie beznamiętnie z góry. W przeciwieństwie do wczorajszego dnia, w dzisiejszym zachodzie słońca nie ma ani cienia *ombré*, a w chmurach ani odrobiny tiulu. Smuga kondensacji przypomina wystający język. Mam ochotę podskoczyć wysoko i zetrzeć z nieboskłonu ten bezczelny grymas.

Jak zwykły kieszonkowiec przekradam się bocznymi uliczkami, starając się nie zwracać na siebie niczyjej uwagi. Niewielki zagajnik znajduje się tuż za One Luckie Street, przy której mieszczą się drukarnia i dom państwa Bellów. Upewniam się, że nikt mnie nie obserwuje, i pospiesznie wchodzę między grube pnie cedru wirginijskiego. Tu, w samym środku kępy drzew, skryta jest kłapa. Nie skrzypi, gdy ją otwieram — zawsze dbamy o to, by zawiasy były dobrze naoliwione. Strome schody prowadzą do jednego z dwóch tuneli wiodących do piwnicy pod One Luckie Street.

Stary Gin siedzi skulony niczym ptak przy naszym stoliku ze szpuli po kablach. Wrócił wcześniej niż zwykle. Będę musiała wstrzymać się nieco z podsłuchiowaniem. Państwa Bellów i tak zapewne nie ma teraz w drukarni, gdzie mogę usłyszeć ich rozmowy. O tej porze pewnie są u siebie w kuchni i jedzą kolację.

— Dobry wieczór, ojczu. — Ostatnio Stary Gin mocno schudł i ubrania zaczęły na nim wisieć. Ma na sobie ciemne spodnie i koszulę, której pierwotny kolor trudno jest już sobie przypomnieć. Pewnymi pociągnięciami pisze chińskie znaki, a ja będę je dziś kopiować. Teraz, kiedy nie ma już wujków, rozmawiamy po angielsku, ale Stary Gin chce, żebym

nie zapomniała ojczystego języka. Mówi, że to będzie ważne dla mojego męża, którego ma nadzieję kiedyś mi znaleźć.

Jego cienkie, nitkowe brwi podnoszą się lekko. Chociaż tutaj, w piwnicy, mówimy ledwie słyszalnym szeptem, on coś najwyraźniej wyczuł w moim głosie. Jestem zła, że nie mogę sobie nawet głośno ponarzekać na całą tę niesprawiedliwość, która mnie dotknęła. Zamiast tego szoruję ręce i twarz w wiadrze do mycia z większą energią niż to konieczne, mocząc sobie przy tym rękawy. Następnie siadam na odwróconej do góry dnem donicy służącej mi za krzesło. Uderzam kolanami w nasz prowizoryczny stół.

Stary Gin położył dziś na moim talerzu dwa plasterki szynki, kawałek sera, jedną bułkę z ziarnem sezamowym i małą miseczkę konfitury brzoskwiowej. Żona Robby'ego, Noemi, która pracuje jako kucharka u Payne'ów, zawsze daje Staremu Ginowi coś do zabrania do domu. Staramy się jeść prosto, unikać wszelkich bardziej aromatycznych dań. Nie chcemy wzbudzać żadnych podejrzeń jakimiś dziwnymi zapachami.

— Uważasz, że lepiej odkładać gniew na jutro, hm?

Wzdycham. Stary Gin doskonale wie, jak odkręcać zawory, które uwalniają parę.

— Pani English mnie zwolniła.

Kiedy wylewam przed nim swoje żale, on popija gorącą wodę jęczmienną, wypełniając pauzy w mojej opowieści swoim dźwięcznym „hm”, wybijając mnie z rytmu i pozbawiając moją tyradę całego oburzenia, które chciałabym w nią włożyć. To „hm” pojawia się tak często, że prawie w ogóle go już nie zauważam. Wydaje mi się, że to przyzwyczajenie pozostało mu po czasach, w których dużo czasu spędzał z końmi. „Hm?” to był jego sposób pokazywania im, że ceni sobie ich opinie.

— Teraz zostaje mi już chyba tylko pójść do pracy do przędzalni bawełny — mruczę cicho. W przędzalniach zatrudniają każdego, kto gotów jest przez wiele godzin prząść lub szpulować. Oczywiście może to kosztować palec, albo nawet i życie, dlatego nie bez powodu mówi się często, że to zakłady „produkujące wdowców”.

Natychmiast żałuję swoich słów, gdy pełne przerażenia sapnięcie Staro Gina wywołuje kolejny atak tłumionego kaszlu. Jakby ktoś złapał za te jego szczupłe ramiona i postanowił wytrząsnąć z niego jakieś drobniaki. To na pewno przez tę wilgoć. Gdy dużo pada, w jego kąciku robi się stęchlizna.

Pokonuję dwa stopnie prowadzące do naszej „kuchni”, aby ściągnąć czajnik z piecyka na węgiel. Piecyk podłączony jest do komina prowadzącego od kominka w drukarni nad naszą głową, co oznacza, że możemy używać go tylko wtedy, gdy ktoś tam także rozpali ogień. Na szczęście żona drukarza cierpi na artretyzm i lubi ciepło.

Dolewam nam obojgu jeszcze trochę herbaty jęczmiennej. Stary Gin kiwa głową w podziękowaniu. Jego twarz w kształcie żołądzia jest czerwona i wykrzywiona grymasem. Wstrząsy od kaszlu zmierzwiły mu nawet jego zwykle starannie zaczesane siwe włosy.

— Robby mówi, że niektóre z tych nowych wyciągów są naprawdę skuteczne na kaszel.

— Najlepszym lekarstwem jest czas. — Mimowolnie spogląda w kierunku starej pary butów roboczych ustawionych równo pod ścianą, w których chowamy pieniądze. Zawsze żyliśmy bardzo oszczędnie, ale ostatnio Stary Gin jeszcze mocniej zacisnął pasa. W zeszłym miesiącu przez dziurę w kieszeni zgubiłam ćwierćdolarówkę, a on przeżywał to przez cały tydzień i nie mógł spokojnie spać. — Musimy oszczędzać na twoją przyszłość.

— Naszą przyszłość. — Stary Gin nie jest moim prawdziwym ojcem, a jednak nie wyobrażam sobie życia bez niego. Kimkolwiek byli moi rodzice, musieli wiedzieć, że jest najbardziej godnym zaufania chińskim kawalerem w Atlancie. Inaczej na pewno by mnie z nim nie zostawili. Stary Gin, który w Chinach był nauczycielem, nauczył mnie wszystkiego, co wiedział. Garstka „wujków”, którym Stary Gin pozwalał mieszkać z nami — robotnicy polowi, kopacze rowów i wiertacze skał — opiekowali się mną na zmianę, kiedy byłam mała, ale to Stary Gin płacił matce Robby’ego, żeby mnie wykarmiła. To Stary Gin stale trwał przy mnie, podczas gdy inni ruszali w dalszą drogę.

I teraz siedzi tu przede mną i popija herbatkę, a jego klatką piersiową nie wstrząsają już fale kaszlu.

— Tak, naszą przyszłość. — Powoli wciąga powietrze i odstawia herbatę na stolik. — A co myślisz o tym, żeby znowu pracować dla Payne’ów?

Parskam zdecydowanie za głośno, ale jego twarz nie zmienia wyrazu.

— Mówisz poważnie?

Stary Gin kiwa głową.

— Mogłabyś codziennie widywać się z Noemi.

— Byłoby wspaniale, ale...

— I mogłabyś jeździć na Sweet Potato.

Obraz czarnego jak węgiel pyska naszej klaczy staje mi przed oczami. To Stary Gin wyblagał pana Payne’a, by nie pozwolił głównemu masztalerzowi, Jedowi Cryckowski, zastrzelić chromego źrebca, które zostało odrzucone przez swoją matkę. Pan Payne zgodził się i oddał ją Staremu Ginowi, a nawet pozwolił trzymać ją w swojej posiadłości tak długo, jak długo Stary Gin będzie łożył na jej utrzymanie.

— Wyrosła na naprawdę dorodną klacz — mówi, a po chwili dodaje: — Jest inteligentna, jak ty.

Pomijając całą niezręczność sytuacji wynikającą z faktu, że zostałam kiedyś już stamtąd zwolniona, praca w posiadłości Payne’ów jest wyśmienitą propozycją. Luksusowe otoczenie, obfite posiłki i zazwyczaj sprawiedliwa, choć dość chłodna, zdystansowana pani. Oczywiście córka pani Payne, Caroline, to zupełnie inna sprawa, ale ona wyjechała na naukę na pensji.

Stary Gin kręci kubkiem, wpatrując się uważnie w jego zawartość.

Ale czy pani Payne naprawdę zechciałaby mnie przyjąć z powrotem?

— Zepsutych jaj, które raz już się wyrzuciło, zwykle nie wkłada się z powrotem do koszyka.

Stary Gin przesuwając swoim łagodnym spojrzeniem po lampie naftowej wiszącej nad naszymi głowami i mam wrażenie, że moja uwaga znalazła się w kolejce za zupełnie inną myślą. Jednak po chwili odpowiada:

— Nigdy nie byłaś zepsutym jajkiem.

Wciąga nosem powietrze, jak gdyby chciał zweryfikować słuszność swojego twierdzenia. Ten wdech wywołuje kolejną falę wstrząsów w jego klatce piersiowej, ale zaciska usta, nie pozwalając, by kaszel wydobył się na zewnątrz. Wstaje ze swojego taboretu — stołka do dojenia krów — i dostawia go do stołu. Zamiast życzyć mi dobrej nocy, kiwa głową w moją stronę, po czym z wyraźnym wysiłkiem idzie do swojej części piwnicy.

Pospiesznie porządkuję rzeczy i ja również wycofuję się do własnego kącika, który oddzielony jest od reszty tylko zasłonką z koźmi wyhaftowanymi ręką Starego Gina. Kiedy wujkowie się wyprowadzili, zaproponował, żebym przeniosła się do zamieszkałej przez niego mniej hałaśliwej części pod głównym domem, ale ja nazbyt ceniłam sobie przytulność swojego miejsca, którą podkreśliłam własnoręcznie wyplecionym dywanikiem ze starej flaneli. Nie mówiąc już o tym, że nie chciałam rozstawać się z końcówką tuby pozwalającej mi podłuchiwać Bellów.

Nakładam szybko koszulę nocną i grube skarpety, wchodzę na wysokie łóżko i przysuwam się do wezgłowia. Wyjmuję wełnianą zatyczkę z otworu, który znajduje się tuż przy mojej poduszce. Zatyczka jest niezbędna, by dźwięki nie przedostawały się z dołu na górę.

Z otworu wydostaje się strumień powietrza, który sprawia, że płomień w mojej lampie naftowej chwieje się lekko. Do moich uszu dociera odgłos kroków pana Bella. Charakterystyczny rytm na trzy. Choć nie wiem, jak to wygląda w rzeczywistości i jakim równaniem matematycznym można to wywnioskować, Stary Gin uważa, że ta „słyszalna” przestrzeń obejmuje mniej więcej obszar wokół stołu roboczego Bellów, który zajmuje w przybliżeniu powierzchnię mojej części piwnicy.

Bellowie najwyraźniej się o coś kłócą. Modlę się w duchu, żeby nie miało to nic wspólnego z odkryciem szczurów w piwnicy.

— Tysiąc sześciuset subskrybentów, a ten cały „Trumpeter”, który nadaje się jedynie do tego, by zawijać weń ryby, przebił poziom trzech tysięcy. Przekłeta kolumna „Rady Ciotki Edny”. To jakiś żart — grzmi wydawca. — Jest żenująca. — Mam wrażenie, że jego głos występuje tylko na dwóch poziomach głośności: głośny i jeszcze głośniejszy. Wyobrażam sobie jego rumianą twarz z mięsistymi zgrubieniami wokół oczu, które teraz na pewno robią się jasnoczerwone z oburzenia.

Z ulgą wypuszczam powietrze. Przykro mi, że pan Bell jest zdenerwowany, ale przynajmniej nie chodzi o mnie i Starego Gina.

Ostatnio sprzedaż „Focusa” znacząco spadła — z powodu ryzykownego artykułu wstępnego, w którym Nathan skrytykował pomysł wprowadzenia segregacji w tramwajach miejskich Atlanty. Jednocześnie znacznie wzrósł nakład konkurencyjnego „Trumpetera”, co z kolei wynikało z popularności nowej rubryki porad osobistych. Należący do rodziny owczarek Miśka wydaje z siebie głębokie szczeknięcie, a ogon suki zaczyna tłuc o podłogę. W przeciwieństwie do większości psów tej rasy Miśka nie ma go przyciętego. Lubię sobie wyobrazać, że Wielki Pasterz tam właśnie umieścił jej serce i nie chce, aby się go pozbyto.

— Moglibyśmy dać więcej ilustracji — podsuwa Nathan, wymawiając ostatnie słowo jak „istracji”. W odróżnieniu od swoich rodziców, którzy pochodzą z Nowej Anglii, południowy akcent Georgii sprawia, że gubi wiele liter. Stary Gin twierdzi, że ja też przejęłam już tę manierę. — W „Trumpeter” dają co najmniej dwie na stronę.

— Marnotrawstwo miejsca. Obrazki są dla dzieci.

W pomieszczeniu na górze zapanowała cisza. Nawet ogon Miśki przestał tłuc o podłogę. Niemal czuję wzrost temperatury Nathana i moje serce wyrывa się do niego. Nathan jest moim najwierniejszym przyjacielem, nawet jeśli on o tym nie wie. Mamy ze sobą wiele wspólnego, w tym miłość do fistaszków (jak Nathan nazywa orzeszki ziemne), niechęć do rzepy i pragnienie, by ktoś nas w końcu wysłuchał.

Coś drapie po podłodze — prawdopodobnie to Nathan siada na którymś z krzesel. Wyobrażam sobie, jak wyładowuje frustrację, szkicując jeden ze swoich politycznych komiksów, które są tak dobre, że mogłyby znaleźć się w samym magazynie „Puck”.

— Gdzie jest twój artykuł na temat chorób grzybowych orzesznika? — pyta nagle donośnym głosem pan Bell. — Ludzie chcą wiedzieć, dlaczego ich drzewa są zarażone.

— Czekam, aż ten temat we mnie dojrzeje — mruczy Nathan. Jeśli miałabym kiedyś mieć męża, to mam nadzieję, że będzie równie lotny i dowcipny jak Nathan, ale nie tak zrzędlivy.

— Jeśli chcesz mieć tekst o pasożytach, to pozwól mi napisać to exposé o Billym Riggsie — dodaje po chwili. — „Constitution” nie ma odwagi napisać całej prawdy.”

„Constitution” określiło Billy’ego mianem „człowieka rozwiązującego problemy”, ale Bellowie uważają, że ten człowiek macza palce w brudnych interesach. W zeszłym roku spadkobierca fortuny zdobytej na burbonie powiesił się po tym, jak jego konkurent ujawnił, że młody dziedzic woli towarzystwo mężczyzn. Państwo Bellowie podejrzewają, że informację o tym fakcie kupił i sprzedał właśnie Billy Riggs.

Pan Bell parska głośno.

— Nasz koniec może być bliski, ale nie zamierzam się ratować, sięgając po skandale.

— Tak, tak, oczywiście — śpieszy z zapewnieniami pani Bell. Pilnie nastawiam uszu. Stąpa tak cicho, że czasem trudno jest stwierdzić, czy ona w ogóle jest w pokoju na górze. — Natomiast jeśli spóźnisz się na pociąg, to też będzie nie lada skandal. Powinieneś się już zbierać.

Pan Bell każdej wiosny podróżuje do Nowego Jorku, by spotkać się z grupą sponsorów „Focusa”. Do moich uszu dobiega seria pomruków i pospiesznych kroków.

Podśluchiwanie jest plugawym nawykiem. Ale państwa Bellów podśluchują od *zawsze* i wątpię, by kiedykolwiek udało mi się od tego odzwyczaić. Płynące z góry słowa pocieszały mnie podczas wielu samotnych nocy i sprawiały, że czułam się częścią ich rodziny. Abolicjoniści, którzy zbudowali to miejsce, sprytnie zamaskowali znajdujący się na górze koniec rury w taki sposób, by przypominał otwór wentylacyjny. Zapewne nie spodziewali się, że ktoś taki jak ja będzie kiedyś korzystał z tego systemu. Kto mógłby przewidzieć, że kiedy uda się położyć kres niewolnictwu, na ich miejsce zostaną sprowadzeni Chińczycy i to nie tylko po to, by zastąpić nimi pracowników na plantacjach, ale również by pomóc w odbudowie Południa?

Słyszę szuranie miotły po podłodze — to pani Bell prowadzi wieczorną wojnę z sadzą. Oczami wyobraźni widzę wiązkę witek myszkujących pod stołem roboczym, prasą nożną i skrzynią na czcionki drukarskie. Miśka szczeka, goniąc za uciekającą miotłą.

— Pozwól, że ja to zrobię.

— Ale ja *lubię* sprzątać. A ty lepiej zrób to, o co prosi cię ojciec. Jeśli sprawy w Nowym Jorku nie pójdą dobrze, to, co napiszemy w naszej gazecie, nie będzie miało znaczenia.

— Co to znaczy, że „jeśli sprawy nie pójdą dobrze”?

Wstrzymuję oddech i wkręcam palce we flanelowy materiał mojej koszuli nocnej.

— Większość naszych sponsorów z Północy ma wątpliwości. Jeśli do kwietnia nie uda nam się wrócić do poziomu dwóch tysięcy prenumeratorów, jesteśmy skończeni.

— Ale kwiecień jest już za cztery tygodnie. Musielibyśmy zyskiwać po stu nowych czytelników tygodniowo. To niemożliwe.

— Może więc już czas, żebyśmy przenieśli się do ciotki Susannah...

— Nie jesteśmy farmerami. Nie znamy się na uprawie lucerny. Ja nawet nie *lubię* lucerny. Ci sponsorzy muszą dać nam więcej czasu.

Nerwowo wiercę palcami dziurę w skarpecie. Do tej pory nie przyszło mi jeszcze nigdy do głowy, że Bellowie mogą się stąd wyprowadzić. Czy to dlatego pani Bell przyszła dziś do pani English? Chciała się ze mną w ten sposób pożegnać?

— Co takiego ma „Trumpeter”, czego brakuje nam? — zastanawia się na głos Nathan.

Pani Bell prychnęła.

— Kolumnę z radami Cioci Edny. — Jej miotła drapie o podłogę jeszcze mocniej. — No cóż, może na tych wyścigach konnych uda nam się zdobyć nowych subskrybentów.

To wyścig rozpoczynający sezon towarzyski i wszyscy z najwyższych warstw będą chcieli się na nim pokazać. My — ludzie zajmujący niższe szczeble drabiny społecznej — będziemy się cieszyć z możliwości zobaczenia koni. Bilet kosztuje jednak dwa dolary.

— Co mówisz?

Przyciskam prawe ucho mocniej do otworu.

— Powiedziałam, że może na wyścigach uda nam się...

— Nie. To wcześniej. O kolumnie z poradami Cioci Edny. Gdybyśmy mieli taką rubrykę, to być może udałoby nam się zwiększyć nakład. Zastanówmy się... Co interesuje kobiety? Rady dotyczące prania? — Wydaje z siebie lekki okrzyk bólu. Pewnie uszczypnęła go matka.

— Czasami bywasz tak samo nieznośny jak twój ojciec. — Miśka puentuje to szczeknięciem. — Ciocia Edna udziela już wystarczająco wielu rad w tym temacie. Ktoś powinien zacząć pisać o poważniejszych sprawach. Na przykład jak sprawić, żeby twój mąż-safandula cię słuchał. Albo co zrobić, gdy rzeźnik próbuje wcisnąć ci pośledni kawałek mięsa.

Pośledni. Co za piękne słowo. Dodam je do słów, które zapisuję kredą w swoim słowniku prowadzonym na ścianie. Pan Payne dał Staremu Ginowi słownik, jest jak nowy, z tym tylko, że nie ma w nim haseł na *P*. Wpadłam więc na pomysł, by go w tym miejscu uzupełnić. „Pośledni” będzie znakomicie pasować na ścianę.

— A dlaczego ty nie prowadzisz takiej rubryki? — pyta Nathan.

— Ponieważ musiałabym dawać teksty do akceptacji twojemu ojcu. Nathan jęczy głośno.

— Rozumiem. Zapomnijmy, że w ogóle o tym wspomniałem.

Na górze zapada cisza. Starannie zatykam mój koniec tuby. Bardzo tego pilnuję.

Jeśli rodzina Bellów straci gazetę, wyjadą, a przecież są dla mnie jak rodzina. Stary Gin mógłby nawet dojść do wniosku, że pora już znaleźć mi męża „z mięsistym nosem”, bo to ponoć oznacza, że będzie bogaty. Chińscy kawalerowie w tym kraju są tak zdesperowani brakiem odpowiednich kandydatek, że wydają setki dolarów na ściąganie kobiet z Chin i to często o wiele młodszych niż te moje siedemnaście lat. Ja nie mam ochoty mieć podstarzałego i brzydkiego męża.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

Za dnia siedemnastoletnia Jo Kuan pracuje jako służąca niezbyt miłej córki jednego z najbogatszych ludzi w Atlancie, ale nocą przemienia się w „Pannę Sweetie” – autorkę kolumny z radami dla dam z Południa. Kiedy jej rubryka staje się popularna, Jo postanawia wykorzystać siłę pióra, by zarządzić niektórym bolączkom trapiącym społeczeństwo, w którym przyszło jej żyć. A skoro jej odważne teksty podważają pewne „niezmienne prawdy” związane z rasą i płcią, opór przynajmniej części ludzi jest nieunikniony.

Podczas gdy przeciwnicy starają się odkryć, kim w rzeczywistości jest „Panna Sweetie”, znaleziony przypadkowo list sprawia, że Jo rozpoczyna własne poszukiwania. Chce poznać swoją tożsamość, dowiedzieć się, kim byli jej rodzice, którzy porzucili ją jako niemowlę. Kiedy w efekcie tych wysiłków Jo znajduje się na celowniku najbardziej nikczemnej postaci w całej Atlancie, musi zdecydować, czy ona, dziewczyna przyzwyczajona do życia w cieniu, jest gotowa podnieść przyłbicę i otwarcie stawić czoła rzeczywistości.

Stacey Lee swoją dowcipną, a czasem chwytającą za serce narracją po mistrzowsku tworzy niezwykły dramat społeczny rozgrywający się na amerykańskim Południu w okresie po zniesieniu niewolnictwa.

CZYM SIĘ ZAKOŃCZY PODWÓJNE ŻYCIE JO, GDY PRAWDA WYJDZIE NA JAW?

beyA.
beyA.pl

ebook dostępny na:

ebookpoint

ISBN 978-83-283-9927-3



cena: 44,90 zł